

OPŁATA POCZTOWA RYCZAŁEM

Nr. 98 BIBLIOTECZKA Nr. 98
HISTORYCZNO-GEOGRAFICZNA

BORYS SAWINKOW

Z cyklu „Rosja na rubieży”.

JAK ZABILIŚMY W. KS. SERGJUSZA

*Nie kłamać —
bawiąc.*



*Nie nudzić —
ucząc.*

T-wo Wyd. „Rój” s. z o. o.
Warszawa, Kredytowa 1. P. K. O. 9880.

K-82/139

Dr. ANTONI MARCZYŃSKI

CZARNA PANI

poprzedzona wstępem
ZDZISŁAWA DEBICKIEGO.

O wybitnych walorach tej niesłychanie ciekawej książki, w której fabuła powieści ze współczesnego życia Polski łączy się z powieścią historyczną — świadczy fakt, że Tow. Wyd. „Rój” zapoznawszy się z jej treścią, zamówiło u autora dziewięć dalszych powieści, a mianowicie:

Świat w płomieniach
Aloha
Artaynta
Rok 1947

Niewolnice z Long Island
W podziemiach Kartaginy
Carmen
Pieczeń z Antylopy
Wyspa nieznana

Ilustrowany prospekt wszystkich powieści dr. Marczyńskiego wysyłamy bezpłatnie.

Tow. Wyd. „Rój” s. z. o. Warszawa,
Kredytowa 1.



17814

Pamiętniki Sawinkowa, wydane właśnie w Rosji, są sensacją dnia.

Nieugięty szermierz w walce z caratem, socjal - rewolucjonista, potem równie nieprzejednany wróg czerwonej dyktatury bolszewickiej, aliant Polski, człowiek nieugiętego czynu, wyznawca walki do końca — był Borys Sawinkow przyczyną wielu kłopotów władzy sowieckiej, dyrygując szeroko rozgałęzioną akcją konspiracyjną. Erenburg w „Mikołaju Kurbowie” daje wyrazistą sylwetę Sawinkowa.

Co i jak skłoniło Sawinkowa do wydania się w ręce Sowietów — pozostanie na zawsze tajemnicą. Osadzony przez nich w więzieniu, znaleziony został na podwórku z roztrzaskaną czaszką. Mówiono o samobójstwie, mówiono, że został stracony; za-

pewne przyszły historyk zdoła rozsupłać tę zagadkę.

Pamiętniki, które po jego śmierci wyszły, zawierają ciekawy i bogaty materiał do historii walk rewolucyjnych w Rosji. Tomik 93-ci „Roju” podał z nich „Jak zabiliśmy Plehwego”. Tomik niniejszy ściśle łączy się z poprzednim, ale jest zamkniętą w sobie całością.

NOWE PLANY.

W dzień zabójstwa Plehwego wieczorem (15 czerwca) wyjechałem z Petersburga do Warszawy. W Warszawie mieli mnie oczekiwać Azef i Iwanowska. Jednakże Azefa już nie znalazłem; dowiedziawszy się z gazet o zabiciu Plehwego, wyjechał zagranicę. Iwanowska wyjechała do Odessy, ja zaś do Kijowa, w którym miałem naznaczone spotkanie z Kalajewem. Dowiedziałem się od niego, że chodzą wersje o zaarrestowaniu w Petersburgu Sikorskiego.

Postanowiliśmy z Kalajewem pojechać do Białegostoku — rodzinnego miasta Sikorskiego: chciałem osobiście przekonać się o prawdziwości tych wieści. W Białymstoku jednakże niceśmy się nie dowiedzieli i pojechaliśmy do Suwałk, skąd, jak zwykle przy pomocy szmuglerki żydówki mieliśmy się przeszwarcować do Niemiec.

U pomienionej szmuglerki przyjęto mnie gościnnie jako starego klienta. Też samej nocy przekroczyliśmy w towarzystwie żołnierza pogranicznej straży granicę, a ranniem siedzieliśmy już w pociągu niemieckiej kolei. Kiedyśmy ujechali już sto wiorst od granicy rosyjskiej, na stacji Insterburg podszedł do nas niemiecki żandarm:

- Dokąd panowie jadą?
- Do Berlina?
- Do Berlina?
- Tak jest.
- A czem się panowie trudnią?
- Jesteśmy studentami.
- Czy panowie jadą z Rosji?
- Naturalnie, że z Rosji.
- Proszę o paszporty.

Paszportów zagranicznych nie mieliśmy. Miałem tylko poświadczenie tożsamości, uprawniające do cyrkulacji wewnątrz Rosji. Byłem przekonany, że zostaniemy aresztowani i znając niemieckie zwyczaje nie wątpiłem, że zostaniemy wydani w ręce żandarmów rosyjskich. Ale nie miałem nic do stracenia; z determinacją wyjąłem owo poświadczenie tożsamości.

— Paszport? Proszę bardzo.

Ujrzawszy jakiś dokument, żandarm nie zadał sobie nawet fatygi wzięcia go w rę-

ce. Wygrzeczniał odrazu i salutując powiedział:

— Proszę o wybaczenie. Omyliłem się. Rozumieją panowie, że rozmaici ludzie szwendają się nad granicą.

Po upływie trzech dni znaleźliśmy się w Genewie.

Do Genewy przyjechali także Szwajcer, Boryszański, Dora Brylant i Dulebow. Zebrała się tu cała kompanja z zamachu na Plehwego. Jedyne Maciejewski został w Rosji.

W Genewie panował radosny nastrój z powodu zabójstwa Plehwego. Znaczenie partji w oczach rządu urosło ogromnie i sama partja nabrała dużej pewności siebie. Płynęły liczne ofiary na rzecz organizacji bojowej, zjawiali się ludzie, zaofiarowujący swoje usługi.

W Genewie również spotkałem Borysa Wasiljewicza Mojsiejenko, byłego studenta Instytutu Górniczego, mego towarzysza zarówno w konspiracyjnej grupie „Sztandar Robotniczy”, jak i w późniejszym wygnaniu w Wołogdzie.

Zaznajomiłem go z Azefem i został przyjęty do naszej organizacji.

W Genewie pracowałem nad sformulowaniem regulaminu bojowej organizacji oraz redagowałem wraz z Gocem i Czerno-

wem czwarty numer „Biuletynu Rosji Rewolucyjnej”, poczem wyjechałem do Paryża. Organizowaliśmy tam właśnie pracownię dynamitową. Szwajcar, nasz znakomity dynamitard z zamachu na Plehwego osiedlił się jako przekupień śmietany, obywatel grecki Dawużogro, na ulicy Gramme w dzielnicy Grenelle. Zamieszkał na tej ulicy razem z Dorą Brylantówną i młodszym bratem Azefa, Włodzimierzem, który miał chemiczne wykształcenie. W pracowni tej wyrabiano dynamit, mający służyć dla wszystkich zamachów oraz kształcono kadry dynamitardów. Przeszliśmy taki kurs wszyscy — Kalajew, Dulebow, Boryszański i ja. Ucząc nas i wyrabiając dynamit, Szwajcar równocześnie studiował nowe wynalazki z dziedziny chemji i elektrotechniki. Miał to przekonanie, że tylko wszechstronne wyzyskanie najnowszych zdobyczy wiedzy postawi terror na odpowiedniej stopie.

W tymże czasie w Paryżu odbył się szereg narad w naszym Komitecie na temat dalszej taktyki. Postanowiono podjąć równocześnie trzy przedsięwzięcia: w Petersburgu — zamach na petersburskiego generał-gubernatora, Trepowa, w Moskwie — na moskiewskiego generał-gubernatora, wielkiego księcia Siergieja Aleksandrowi-

cza i w Kijowie — na kijowskiego generał-gubernatora, Klejgielsa. Komplet zamachowców, a przynajmniej jądro przyszłego kompletu, stanowili spiskowcy, będący wówczas zagranicą; Maciejewski był w Rosji i co do niego nie wiedzieliśmy, czy mamy prawo na niego liczyć. Okazało się w następstwie, że nadal nie brał udziału w naszej robocie bojowej: wstąpił do polskiej partji socjalistycznej. Za wyjątkiem jego i Azefa, który miał pozostać zagranicą, bojowa więc organizacja składała się z Dory Brylant, Dulebowa, Boryszańskiego, Kalajewa, Szwajcera, Mojsiejenko, mnie i Tatjana Leontjewoj.

Tatjana Aleksandrowna Leontjewa, przemieszkując w Genewie, za pośrednictwem Breszkowskiej zaoferowała swoje usługi bojowej organizacji. Zarówno na mnie jak na Kalajewie wywarła doskonałe wrażenie. Z każdego jej słowa bił zapał i gotowość do poświęceń. Córka jakuckiego wice-gubernatora, mająca matkę arystokratkę, a przez nią stosunki z dygnitarskimi sferami Petersburga, mogła liczyć na to, że będzie wprowadzona na dwór cesarski i że nawet otrzyma godność damy dworu. Nie była wcale jeszcze podejrzana przez policję, nigdy nigdzie nie była wplątana w najmniejszą aferę polityczną. Posta-

nowiliśmy więc oszczędzać jej, ograniczając jej rolę do charakteru wywiadowczego w wysoko postawionych kołach.

Zostało zdecydowane, że do Petersburga pojedzie Szwajcar i obejmie kierownictwo zamachu. Z dawnych bojowców miał otrzymać do pomocy Dulebowa i Iwanowską, a z pośród nowych — Leontjewą i szereg towarzyszy, bądź oczekujących już w Rosji, bądź takich, których Szwajcar miał dopiero skooptować. Petersburska grupa bojowa później, istotnie, otrzymała nowych członków: Basowa, Szyllerowa, Podwickiego, Trofimowa, Zagorodnego, Markowa, Barykowa i pewnego robotnika z Białegostoku, znanego pod pseudonimem „Sasza Białostocki”. Zadanie Szwajcera, skomplikowane samo przez się, komplikowało się tem bardziej, że jego ludzie nie znali się pomiędzy sobą.

Kijowską grupę bojową prowadził, na żądanie Azefa, Boryszański. Mając również prawo kooptacji, skooptował on małżeństwo nazwiskiem Kozak.

Mnie powierzono zorganizowanie zamachu na wielkiego księcia Siergieja Aleksandrowicza. Wraz ze mną do Moskwy miała wyjechać Dora Brylant, Kalajew i Mojsiejenko. Polecono mi dokooptować do swej grupy jednego tylko człowieka, wska-

zanego przez Azefa. Był to stary rewolucjonista, robociarz, którego miałem odnaleźć w Baku.

Dla wszystkich trzech grup bojowych wypracowano jednakowy plan działania — taki, jakim posiłkowaliśmy się przy zamachu na Plehwego. Projektowano zarządzić obserwację uliczną Trepowa, wielkiego księcia Sergjusza i Klejgielsa i dokonać zamachu na ulicy. Jak i przy zamachu na Plehwego, obserwację mieli pełnić bojowcy, ucharakteryzowani na dorożkarzy i przekupni ulicznych. W Moskwie dorożkarzami mieli zostać Mojsiejenko i Kalajew.

Powodzenie, jakim został uwieńczony zamach na Plehwego pozwoliło nam rokować sobie najlepsze nadzieje. Nie zastanawialiśmy się ani nad tem, że grupa kijowska składa się z ludzi niedoświadczonych, ani nad tem, że kijowska grupa Boryszańskiego jest zbyt nieliczna. Byliśmy pewni, że o ile nie zdarzy się prowokacja, zamierzenia nasze muszą być uwieńczone powodzeniem.

Po opracowaniu powyższego planu Kalajew i Mojsiejenko wyjechali do Brukseli, a ja pozostałem w Paryżu w oczekiwaniu na paszport i dynamit. Ja i Szwajcar otrzymaliśmy paszporty angielskie, ja — na imię Jamesa Halley'a, zaś Szwajcar — na imię

Artura Mac-Cullona. Potem już, po śmierci Szwejcera Mac-Cullon został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej za nielegalne wręczenie paszportu rewolucjonistom rosyjskim. Obaj Anglicy byli zasądzeni na grzywny po sto funtów szterlingów i sumy te wypłaciła im bojowa organizacja. W owe czasy organizacja bojowa rozporządzała dużymi środkami: ofiary na jej rzecz po zamachu na Plehwego szły w dziesiątki tysięcy rubli. W początkach listopada bojowcy wyszli do Rosji.

Dynamit był gotów i przewieźliśmy go pod ubraniem. Po upływie kilku dni Kalajew, Mojsiejenko, Dora Brylant i ja spotkałiśmy się w Moskwie. Boryszański i Szwejcer rozdzielili pomiędzy siebie dynamit w Warszawie.

PIERWSZE KROKI W MOSKWIE.

Aczkolwiek, przy przystępowaniu do organizowania zamachu na wielkiego księcia mogły być nam pomocne informacje miejscowego komitetu socjalistów rewolucjonistów, to jednakże postanowiliśmy sobie nie wchodzić absolutnie w kontakt z tym komitetem w obawie wsypy. Dlatego też przez długi czas centralny komitet moskiewskiej partji socjalno rewolucyjnej nie

podejrzewał nawet, że pod jego bokiem pracuje organizacja bojowa.

Musieliśmy więc liczyć wyłącznie na własne siły.

Przedewszystkiem należało się dowiedzieć, gdzie mieszka generał - gubernator. Było to wiadomem każdemu mieszkańcowi Moskwy, ale żaden z nas, niestety, nigdy w Moskwie nie mieszkał. Wahaliśmy się, który z pałaców wielkiego księcia należy poddać obserwacji.

Mojsiejenko rozstrzygnął tę kwestję. Wdrapał się na dzwonnice Iwana Wielkiego i począł rozpytywać oprowadzającego go dozorcę o budynki, widniejące w panoramie miasta. Pomiedzy innymi zapytał, gdzie mieszka generał-gubernator. Dozorca wskazał na plac Twerski i zakomunikował, że wielki książę mieszka tam właśnie.

W ten sposób uzyskaliśmy potrzebny adres. Teraz należało poinformować się o godzinach wyjazdów wielkiego księcia. Mojsiejenko i Kalajew zakupili konie i sanki i zarejestrowali się jako dorożkarze. Nie miałem żadnej wątpliwości, że Kalajew da sobie doskonale radę w swojej nowej roli: jego doświadczenie jako handlarza ulicznego powinno byłoby mu się przydać również i w stanie dorożcarskim. Natomiast Mojsiejenko nie miał żadnego doświadcze-

nia. Prócz tego pochodził on z zamożnej rodziny i nie przywykł ani do pracy fizycznej, ani do ciężkich warunków życia. A jednak, bez względu na to, bardzo szybko zżył się ze swoim nowym stanowiskiem.

Mojsiejenko i Kalajew kupili sanki w tymże samym czasie, za konie zapłacili też same ceny, a jednak w ich wyglądzie zewnętrznym była ogromna różnica.

Mojsiejenko jeździł chudym, zamęczonym konikiem, który skończył tem, że padł gdzieś za Twerskimi rogiatkami. Sanki jego były brudne i zdezylowane, fartuch dziurawy i wypełzły. Tymczasem Kalajew miał doskonale utrzymanego mocnego konia, fartuch obramowany futrem. Sam on opasywał się czerwonym pasem i miał wygląd zamożnego dorożkarza — właściciela. Ale zato w zajazdach, gdzie trzymali swoje konie i dorożki, role ich zmieniały się całkowicie. Mojsiejenko zupełnie nie zadawał sobie fatygi z maskowaniem się. Na zapytania kolegów dorożkarzy co do jego życiorysu nie raczył odpowiadać; na całe niedziele wyruszał na miasto; dla mycia dorożki i dla doglądu konia najmował parobka; właściciela zajazdu traktował wyniośle i dawał do zrozumienia, że posiada pieniądze. To jednało mu szacunek dorożkarzy.

Kalajew postępował zupełnie inaczej.

Miał wygląd cichy i bojaźliwy, godzinami potrafił opowiadać swój rzekomy życiorys — lokaja w jednej z garkuchni petersburskich, był bardzo pobożny i skąpy; uskarżał się nieustannie na brak pieniędzy i robił głupiego w chwilach, kiedy bywał przyparty do muru i nie był w stanie dać dokładnej i wyczerpującej odpowiedzi. W zajeździe odnoszono się do niego z lekceważeniem i zaczęto go považać dopiero później, kiedy pozyskał wszystkich swoją wyjątkową pracowitością: sam on doglądał konia, mył sanki, pierwszy wyjeżdżał na robotę i ostatni powracał.

Tak czy owak, zarówno Mojsiejenko jak i Kalajew różnemi drogami osiągnęli ten sam rezultat: koledzy - dorożkarze, rzecz prosta, nie mogli powziąć podejrzenia, że obaj oni nie są zwykłymi proletariuszami, że są to byli studenci, członkowie bojowej organizacji socjalistów rewolucjonistów, śledzący każdy krok wielkiego księcia Siergieja.

Na robocie obaj oni prześcigali się we współzawodnictwie. Kalajew, tak jak i w swoim czasie przed zabójstwem Plehwego, wydyżurowawszy się ze swą dryndą przez określone w naszym planie godziny na wyznaczonej ulicy, nie zaprzestawał i potem obserwacji. Całą resztę dnia poświęcał

również na nie, tutaj już całkowicie powodując się własnym instynktem. I, istotnie, udało mu się niejednokrotnie spotykać wielkiego księcia na takiej ulicy i w takiej godzinie, w jakich mogło to być najmniej oczekiwane. Mojsiejenko również miał swój system. Wypełniał go niezależnie od Kalajewa. Ale przytem wszystkim mało się tulał po ulicach. Dedukował sobie drogą logicznych rozumowań, że wielki książę bezwzględnie wyjedzie w określonej godzinie i starał się być jak raz na tę chwilę na ulicy Twerskiej. W ten sposób jego obserwacje dopełniały się z obserwacjami Kalajewa i odwrotnie.

Trudną sprawę systematycznych widzeń ze mną, — widzeń gentlemana - anglika z dryndziarzami — obaj oni rozwiązali, również każdy po swojemu. Kalajew przekładał widzenia w sankach, aczkolwiek z kochał trudno mu było zdawać sprawozdanie i mroź nie pozwalał na dłuższe rozmówki. Zaledwie rzadko tylko zgóry obmyśliwszy preteksty, jakimi wyłgiwał się w zajezdzie dorożkarskim, Kalajew w niedziele przemykał się na rozmówki ze mną do traktjerni Bakastowa przy wieży Sucharewskiej. Były to dla nas prawdziwe święta; mogliśmy spokojnie spędzać ze sobą kilka godzin, rozważyć wszelkie szczegóły i po-

marzyć o przyszłości. Kalajew mówił, wiele o swojej pracy i niejednokrotnie powtarzał, że czuje się szczęśliwy i że czeka niecierpliwie na dzień zamachu. Mojsiejenko prawie się ze mną nie widywał na ulicy. Prostu, nie racząc wcale dawać jakichkolwiek informacji w swoim zajezdzie nakładał swoją świąteczną „poddiowę” i szedł wieczorem na spotkanie ze mną do traktjerni, albo do cyrku. Zdawał relację z niezmaconym spokojem, pod maską którego jednakże dawał się wyczuwać niemniejszy niż u Kalajewa entuzjazm. O zamachu mówił w sposób powściągliwy i przypuszczał zawsze, że rola bezpośredniego wykonawcy przypadnie jemu w udziale.

Z tymi obydwojma bojowcami byłem w owym czasie najbliżej i omawiałem z nimi każdy szczegół naszej roboty.

Kalajew tak opowiadał o swoim życiu:

— Sprawilem ja sobie paszport na nazwisko podolskiego chłopca, „chochła”, Józefa Kowala. I omal nie wpadłem. Wieczorem pyta mnie stróż w zajezdzie:

— Ty z jakiej gubernji?

— Zdaleka, z podolskiej.

— Ee — powiada — to my krajanie! Ja sam z podolskiej. A z jakiego powiatu?

— Z uszyckiego.

Ucieśzył się stróż:

— Toż i ja też z uszyckiego powiatu.

Jakże nie zaczniesz mnie pytać, z jakiej gminy, z jakiej wsi, a czy słyszałem o wsi Głodówce, a czy bywałem na jarmarkach w Niedojadłowie? Ale nie dałem się nakryć: Na szczęście, otrzymując taki paszport, zaszedłem uprzednio do biblioteki publicznej, przeczytałem o uszyckim powiecie.

— Jakże nie znać — powiadam — bywałem; w powiatowym też bywałem; a fajny tam sobór, pamiętasz?

Okazało się nawet, że pamiętam lepiej od stróża nasze rodzinne kąty.

A oto opowiadanie Mojsiejenki:

— Podchodzi do mnie na podwórzu jakiś oberwus: skąd bracie pochodzisz?

Popatrzyłem na niego i powiadam: z Portu Artura.

Wytrzeszczył na mnie oczy: z Portu Artura?

A ja nawet nie patrzę na niego i nakładam chomont.

Stoi, stoi, przestępuje z nogi na nogę, drapie się po łbie: — a co ty — powiadam — golony?

Jak widzicie, głowę mam krótko strzyżoną, nie dorożkarską modą.

— Golony — powiadam. — W wojsku

byłem, na tyfus w szpitalu chorowałem, a teraz z durniem rozmawiam...

Widzę, że z respektem patrzy na mnie, drapie się po kudłach jeszcze zawzięciej i powiada:

— Widzę, że ty ptak nie byle jaki; i w wojsku byłeś i z Portu Artura pochodzisz, i na tyfus chorowałeś...

Od tego czasu stale czapkę przede mną zdejmuję.

KOMPLIKACJE.

Bez względu na nieliczność naszej grupy bojowej, obserwacja uliczna, dzięki poprzedniemu naszemu doświadczeniu, szła rażno. Wkrótce znaleźliśmy jak najdokładniej rozkład dnia wielkiego księcia. Kalajew potrafił z takimi detalami mówić o jego entourage'u, jak niegdyś o karecie Plehwego. Cechami charakterystycznymi powozu wielkiego księcia były białe rzemienie uprząży oraz oślepiające, jaskrawe światło acetylenowych latarń. Takich latarń nikt inny w Moskwie nie posiadał. Tylko wielki książę i żona jego, wielka księżna Elżbieta jeździli z takim światłem. To nieco komplikowało nasze zadanie — można było omylić się i wziąć karete wielkiej księżnej za karete jej męża. Ale Kalajew i Mojsiejenko

doskonale nauczyli się rozróżniać osoby stangretów i z tego zawsze bezbłędnie wnioskowali, kto się znajduje w karecie.

Ale nauczyć się poznawać karetę, to nie było wszystko. Koniecznym było doskonale wiedzieć gdzie i kiedy wyjeżdża wielki książę.

Wkrótce już wiedzieliśmy, że ze swego generał - gubernatorskiego pałacu dwa, trzy razy w tygodniu wyjeżdża on na Kreml. W ten sposób po upływie miesiąca, z początkiem grudnia, obserwacja w głównych rysach była zakończona. Uprzedziłem o tem Dorę Brylant, która przechowywała w Niżnim - Nowgorodzie dynamit.

W tymże czasie, w początkach grudnia, wyjechałem do Baku, ażeby spotkać się tam z zaleconym mi przez Azefa robociarzem. W Baku odszukałem członków miejscowego komitetu, w ich liczbie Marję Aleksiejewną Prokofjewą, narzeczoną Sazonowa, sądzoną następnie w 1907 roku w procesie o spisek na życie cara. Dowiedziałem się od niej, że poszukiwanego przeze mnie robociarza już niema w Baku i że jest rzeczą wątpliwą, czy zgodzi się on wziąć udział w akcie terrorystycznym.

Równocześnie jednak zwrócono moją uwagę na Piotra Aleksandrowicza Kulikowskiego, byłego studenta seminarjum nau-

czyielskiego w Petersburgu, w owym czasie członka komitetu rewolucyjnego w Baku. Zakomunikowano mi, że Kulikowski dawno marzy o zaliczeniu go w poczet bojowców; zewsząd otrzymałem o nim jak najlepsze opinie.

Kulikowski, był to człowiek wysoki, w okularach, z wielkimi dobrami, nieco wylupianymi oczyma. Z punktu mi oznajmił, że chce „robić w terrorze“. Po kilku rozmowach umówiłem się, że niezwłocznie wyjedzie do Moskwy.

Powróciwszy z Baku dowiedziałem się od Mojsiejenko i Kalajewa co następuje: piątego i szóstego grudnia miały miejsce w Moskwie demonstracje studentów. Komitet moskiewski wydał z tego powodu enuncjację, która zawierała groźby pod adresem wielkiego księcia. Komitet, jakem już wyżej powiedział, nie podejrzewał wcale naszej obecności w Moskwie i w ten sposób inicjatywę zamachu brał na siebie. Myśmy nic nie wiedzieli o zamiarze wydania tej enuncjacji.

Oto jej brzmienie:

„Moskiewski komitet partji socjalistów - rewolucjonistów uważa za swój obowiązek ostrzec, że jeśli naznaczone na dzień piątego i szóstego grudnia stu-

denckie demonstracje wywołają równie dzikie represje ze strony policji, jak demonstracje, których świadkiem byliśmy w Petersburgu, to cała odpowiedzialność za te barbarzyństwa spadnie na głowy generał - gubernatora Siergieja i policmajstra Trepowa. Komitet nie zawaha się przed tem, aby ich zgładzić“.

Bezpośrednio po ukazaniu się tej enuncjacji wielki książę nagle i nieoczekiwanie wyniósł się z pałacu generał - gubernatorskiego. Musieliśmy ponownie odkryć jego miejsce pobytu. Zaczęliśmy obserwować pałace Mikołajewskich, Nieskucznych, a nawet Basmannych. Kalajewowi udało się spotkać karetę wielko - książęcą przy Kałuskiej bramie. Wywnioskowaliśmy stąd, że wielki książę zamieszkuje w pałacu Nieskucznym i nie myliliśmy się.

Nie wiem dotychczas, czemu należy zawdzięczać nagle przesiedlenie się wielkiego księcia, — zwykłym wypadkiem, jakimś informacjami o przygotowaniach organizacji bojowej, albo też faktem wydania pomienionej enuncjacji. Przypuszczam, że to ostatnie. Wielki książę nie mógł nie liczyć się z pogroźkami potężnej partji, a w Nieskucznym pałacu czuł się bezpieczniej, niż w pałacu na Twerskim placu.

Mylił się jednak grubo. W ten sposób tylko poszerzyło się pole naszych obserwacji, — zamiast krótkiego odcinka od placu Twerskiego do Kremla, a wielki książę musiał przejeżdżać przestrzeń kilkuwiorstową: od Nieskucznego pałacu do bramy Kałuskiej, poczem przez rzekę Moskwę, wzdłuż ulic Piatnickiej, Wielkiej Jakiman-ki i wzdłuż Polanki lub Ordynki. Na tej długiej drodze można było dyżurować przez dzień cały nie ściągając na siebie żadnych podejrzeń. Wkrótce Mojsiejenko i Kalajew twierdzili, że wielki książę kontynuuje wyjazdy do Kremla i aczkolwiek dnie i godziny ciągle zmienia, to jednak podąża zwykle tą samą marszrutą — wzdłuż Wielkiej Polanki.

Tymczasem pieniądze, któreśmy otrzymali przy wyjeździe z zagranicy wyczerpywały się. Kilkakrotnie przychodził nam z sukursem adwokat Zdanow, kolega mój jeszcze z wołogockiego zesłania, który następnie wnosił obronę Kalajewa, a w 1907 roku sam został skazany na cztery lata katorgi za przynależność do partji socjaldemokracji. Pisałem do Azefa do Paryża o pieniądze. Pieniądze jednakże nie przychodziły. Zwracać się do Komitetu Moskiewskiego nie chcieliśmy za nic. Wtedy wpadłem na następujący pomysł:

Wiedziałem, że Zdanow przyjaźni się z adwokatem Malantowiczem, którego jednak nie znałem osobiście. Zgłosiłem się do mieszkania Malantowicza w czasie przyjęć i kazałem się zameldować jako obywatel ziemski Krzesiński. Wyczekawszy dwie godziny w poczekalni pomiędzy innymi klientami, byłem wreszcie poproszony do gabinetu. Wtedy wyjaśniłem Malantowiczowi, że jestem dobrym znajomym Zdanowa i że wiem, że on, Malantowicz, jest także dobrym jego znajomym; że mi trzeba pieniędzy i że proszę o pożyczanie mi dwustu rubli na tydzień, przyczem Zdanow za mnie zaręczy...

Malantowicz wysłuchał mnie, nie tając zdumienia.

— Ależ kiedy Zdanowa niema w chwili obecnej w Moskwie — powiedział.

Odpowiedziałem, że jeśli by Zdanow był w Moskwie, to zwróciłbym się do niego, a nie do człowieka nieznanego mi zupełnie. Malantowicz słuchał z wciąż rosnącym zdziwieniem.

— Pan się nazywa Krzesiński — zapytał.

Odpowiedziałem:

— To jest wszystko jedno, jak się nazywam.

Malantowicz uważnie mi się przyjrzał. Poczem powiada:

— Dobrze. Nie mam teraz pieniędzy ale niech się pan zjawi za parę dni.

I po upływie paru dni istotnie otrzymałem od niego dwieście rubli.

W następstwie, podjąwszy moją obronę sądową w Sewastopolu, Malantowicz przypomniał sobie ten wypadek; opowiedział mi, że długo się wahał, czy dać mi pieniądze: nie domyślał się wcale, że jestem bojowcem i nie rozumiał, jak sobie tłumaczyć moje zwrócenie się do niego, zupełnie obcego sobie człowieka.

W końcu grudnia przyjechał do Moskwy inżynier Uspienski, sympatyk partji i przywiózł pieniądze. Od Azefa również otrzymałem czek. Pożyczkę, zaciągniętą u Malantowicza, spłaciłem.

W tymże czasie do Moskwy przyjechał członek centralnego komitetu Tiutczew. Po rozmowie z nim zdecydowałem rozkonspirować się wobec komitetu moskiewskiego, gdyż uważałem, że po wydaniu jego enuncjacji, nasze prace mogą się krzyżować. Z wielkimi ostrożnościami spotkałem się z jednym z członków komitetu, Włodzimierzem Zenzinowem, który pracował w następstwie również jako bojowiec. Zapytałem, czy moskiewski komitet przy-

gotowuje się do zamachu na wielkiego księcia.

— Tak jest — odpowiedział Zenzinow.

— Czy komitet ma jakieś informacje dotyczące się życia wielkiego księcia i czy są prowadzone jakieś obserwacje?

Zenzinow wtajemniczył mnie we wszystkie przygotowania komitetu. Komitet, rzecz prosta, nie był w stanie zabić wielkiego księcia i jego robota mogła tylko zaszkodzić naszej pracy. Powiedziałem o tem Zenzinowowi i w imieniu organizacji bojowej prosiłem przerwać wszystkie przygotowania. Następnego dnia Zenzinow został aresztowany, co po raz nie wiem który stwierdziło pewnik, jak ważnym jest dla powodzenia aktu terrorystycznego zupełnie jego odosobnienie. Zenzinowa, naturalnie, śledzono już w dniu widzenia się ze mną i przy większej spostrzegawczości szpicli mogła wsypać się cała nasza grupa.

W tymże samym czasie mniej więcej przyjechał zwerbowany przeze mnie w Baku, Kulikowski. Postanowiliśmy, że będzie on pełnił obserwację jako uliczny sprzedawca. Ale w tej roli nie okazał się na wysokości zadania. Brak mu było doświadczenia, a w dodatku był krótkowidzem. Zarzucił więc zawód handlarza i bez niczego prosto wystawał całymi dniami u bramy

kałuskiej. Nauczył się niebawem rozróżniać karetę wielkiego księcia i w ten sposób nadawał się do wzięcia udziału w zamachu.

Dora Brylant, mieszkająca częściowo w Moskwie, częściowo zaś, ze względów konspiracyjnych, w Niżnim - Nowgorodzie, strasznie sobie uprzykrzyła swoją bezczynność. Istotnie rola jej była zupełnie pasywna. W samotności doglądała swego dynamitu. Stała się jeszcze bardziej skryta i w skupieniu wyczekiwała chwili, kiedy jej osoba stanie się znowu potrzebna.

MOSKWA CZY PETERSBURG? ZAMACHY, CZY POWSTANIE?

Dziesiątego stycznia doszły do Moskwy pierwsze wieści o zdarzeniach w Petersburgu. Wielki książę przeniósł się z Nieskucznego do Mikołajewskiego pałacu. Przez to znowu pokrzyżował nasze plany. Obserwowanie Nieskucznego pałacu dało nam już określone wyniki: było nam wiadomem, że wielki książę jeździ do Kremla zwykle w środy i piątki i w każdym razie nie rzadziej, niż dwa razy na tydzień, pomiędzy godziną drugą i piątą. Jużemy mieli zamiar przystąpić do wykonania zamachu. Teraz należało rozpocząć obserwację odnowa i, co

gorsza, prowadzić je w samym Kremlu. Nie wiedzieliśmy, kiedy i jak przejeżdżać będzie wielki książę, to znaczy, przez którą z bram Kremlu. Nasza grupka była tak nieliczna, że nie byliśmy w stanie tropić za murami Kremla. Musieliśmy więc obserwować wewnątrz tych murów, pętając ciągle w oczach wielkoksiążęcej „ochrony”. Mojsiejenko ze zwykłą swoją bezczelnością od pierwszego dnia obrał sobie stanowisko przy wielkiej armacie („Car-Puszka”) przy której nie miały zwyczajowo stawać dorożki. Stamtąd miał wspaniałą perspektywę na pałac Mikołajewski, a więc i żaden wyjazd wielkiego księcia nie mógł się odbyć bez zwrócenia uwagi. Ta bezczelność jakoś uszła na sucho, stójkowi i szpicle nie zwrócili uwagi, dryndziarz zainstalował się na dobre i na stałe przy onej pomnikowej armacie i od tej chwili zyskaliśmy cudowny punkt obserwacyjny.

Obserwacja nasza stwierdziła wkrótce, że wielki książę często jeździ przez bramę Nikolską. Wyjazdy te odbywały się w różne dni, ale zawsze mniej więcej w tychże samych godzinach: między drugą i piątą. Powoli dowiedzieliśmy się dokąd jeździ wielki książę: jeździł mianowicie do swoich biur w domu generała-gubernatorskim na Twerskim placu. Kalajewowi uda-

ło się pewnego razu zaobserwować jego przyjazd. Wielki książę podjechał nie do głównego wejścia, wychodzącego na plac, a od zaulka Czernyczewskiego.

Pomimo tak dokładnych danych, według naszego zdania, mieliśmy jeszcze zbyt mało informacji. Było niemożliwością śledzić wielkiego księcia z nabitymi bombami przez kilka dni z rzędu, było niemożliwością oczekiwać go codzień, dźwigając bomby, przez dwie, trzy godziny na ulicy Twerskiej i w Kremlu. A tymczasem wyjazdy jego wciąż były nieregularne i pozostawała nam jedyna nadzieja — dowiedzieć się z góry z gazet o której godzinie i dokąd on się udał.

Wielki książę często jeździł na oficjalne uroczystości: do teatru, na galówkowe nabożeństwa, na poświęcenie jakichś szpitali, instytucyj dobroczynnych i t. d. Ale gazety niezawsze informowały dokładnie. Musieliśmy za wszelką cenę zdobyć źródło pewnych i w swoim czasie dostarczonych informacji.

W trakcie obmyślenia przez nas szczegółów zamachu przyjechał do Moskwy niespodziewanie inżynier Rutenberg.

Znałem go jeszcze z ławy uniwersyteckiej. Należał on wraz ze mną do grup „Socjalista” i „Sztandar Robotniczy”, był

sądzony razem ze mną i razem ze mną dzielił areszt śledczy. Sprawa jego zakończyła się oddaniem pod nadzór policji, poczem otrzymał stanowisko w zakładach Putiłowskich. Pozyskawszy tam miłość i zaufanie robotników, dziewiątego stycznia prowadził razem z popem Haponem tłum demonstrantów na pałac Zimowy. Przy rogatce Narwskiej był pod ogniem salwy karabinowej, podniósł leżącego na ziemi Hapona, zabrał go z szosy Narwskiej, a po kilku dniach wysłał z Petersburga na wieś, ukrywając od oczu policji. Sam on był, naturalnie, również poszukiwany przez policję i przyjechał nielegalnie do mnie do Moskwy. O moim adresie dowiedział się w Komitecie Rewolucyjnym.

Rutenberg spotkał mnie słowami:

— W Petersburgu powstanie.

Opowiedział mi ze wszelkimi szczegółami o tem, co zaszło w Petersburgu, opowiadał i o Haponie i o tem że ten ostatni chce wyjechać zagranicę. Ofiarowałem mu mój zapasowy paszport wewnętrzny i obiecałem zaopatrzyć go w zagraniczny. Rutenberg oba paszporty odesłał Haponowi, ale ów już przedtem uciekł zagranicę.

Wypadki petersburskie wywarły ogromne wrażenie. Nieoczekiwane wystą-

pienie robotników petersburskich, z kapłanem na czele, w istocie sprawiło wrażenie zaczynającej się rewolucji powszechnej. Rutenberg opowiadał o barykadach na Wasilewskiej wyspie, o coraz rosnącym wzburzeniu mas robotniczych i wyrażał pewność, że rewolucja potoczy się niepostrzymanym pędem. Dlatego też zachęcał mnie do niezwłocznego wyjazdu do Petersburga dla poczynienia prób połączenia organizacji bojowej z masami proletarjackimi.

— Macie przecież kogoś w Petersburgu? — zapytał.

Dałem mu odpowiedź wymijającą, nie mając prawa informować o robocie Szwajcera.

— Ale bomby macie?

— Mamy.

— No to jedźmy... z bombami wiele można sprawić.

Po naradzie z Kalajewem i Mojsiejenko zdecydowałem się posłuchać Rutenberg'a i pojechać do Petersburga, ażeby sprawdzić na miejscu, czy się da co zrobić. Rutenberg prorokował, że nastąpią decydujące starcia z wojskiem.

Dwunastego stycznia przyjechałem do Petersburga i niezwłocznie odszukałem Szwajcera. Ten był zdania, że w najbliż-

szej przyszłości trudno myśleć o jakiejś akcji powstańczej na szerszą skalę, bo masa robotnicza jest steroryzowana.

Poza tem informował mnie o toku prac organizacji bojowej. Stanowisko Tatjana Leontjewej w „sferach” na tyle się umocniło, że zaproponowano jej sprzedawanie kwiatów na jednym z tych balów dworskich, na których bywał obecny cesarz. Bal ów powinien być się odbyć 20 grudnia. Leontjewa zaproponowała, że zabije cara na balu i Szwajcar zgodził się na to. Bal jednakże odłożono. W sprawie zabicia cara jeszcze nie debatowano wówczas w centralnym Komitecie i organizacja bojowa nie miała co do tego żadnych dyrektyw. Szwajcar, dając swoją aprobatę Leontjewej, naruszył bezwzględnie dyscyplinę partyjną. Zapytywał mnie, jak ja patrzę na jego pozwolenie i czybym postąpił na jego miejscu tak samo. Odpowiedziałem na to, że dla naszej moskiewskiej grupy bojowej kwestja ta jest zupełnie jasna: cara zabić trzeba i jeśli są tu jakie trudności to tylko natury technicznej, nie zaś politycznej. Dodałem, że według mego zdania zabićby należało cara nawet wbrew formalnemu zakazowi partji.

Oprócz tego Szwajcar opowiedział mi co następuje. Śledząc Trepowa, nasza pe-

tersburska bojówka wypadkowo skonstatowała dzień, godzinę i marszrutę przejazdów ministra sprawiedliwości Murawjewa. Szwajcar, w sprawie zabójstwa cesarza decydujący samodzielnie, nie wiadomo dlaczego w tym wypadku zwrócił się do władz partyjnych o aprobatę. Obróć członka centralnego komitetu, Tiutczewa, w Petersburgu znajdowała się w tymże czasie i Iwanowska, nie biorąca udziału w przygotowaniach zamachu na Trepowa; brała ona natomiast bliski udział w pracach centralnego komitetu. Szwajcar zakomunikował mi, że obserwowanie Murawjewa zakończono i że w środę 12-go stycznia można będzie dokonać zamachu. Ale Tiutczew i Iwanowska w stanowczy sposób wypowiedzieli się przeciwko temu. Dowodzili, że będzie to akt podrzędnego znaczenia i że organizacja niema prawa na tego rodzaju akty zużywać swych sił i energii. Uważałem, że stało się źle, że zabicie Murawjewa bezpośrednio po masakrze 9-go stycznia wywarłoby wrażenie kolosalne.

Wysłuchawszy Szwajcara, spytałem.

— Jeśli wywiad co do Murawjewa jest zakończony, to czemu nie zabijecie go w następną środę, 19-go stycznia — prze-

cież on znowu pojedzie z raportem do cesarza?

— A zakaz centralnego komitetu? — odpowiedział mi Szwajcar.

— Po pierwsze, Tiutczew — to nie cały centralny komitet, a po drugie — nie możemy przecież teraz komunikować się z Genewą.

Szwajcar się zamyślił.

— Czy pan myśli, że zabójstwo ministra sprawiedliwości będzie miało większe znaczenie?

Odpowiedziałem mu, że skoro raz się zdarza okazja zabicia Murawjewa, to nie należy jej marnować, tem bardziej, że nie wiemy, jak się udadzą zamachy na Trepo-wa i wielkiego księcia Siergieja. Szwajcar podzielił moje zdanie.

19-go stycznia odbył się zamach na Murawjewa, ale zakończył się niefortunnie. Wydelegowani zostali z bombami „Sasza Białostocki” i Zagorodny. Pierwszy z nich w przeddzień zamachu znikł, tłumacząc się tem, że rzekomo jest śledzony. Drugi spotkał Murawjewa, ale nie mógł rzucić bomby, bo oddzielały go od karety ministra wozy ciężarowe. Tymczasem w parę dni potem Murawjew otrzymał dymisję i zamach na niego stracił rację bytu.

Wypadek z „Szaszą Białostockim” raz

jeszcze zaświadczył, jak ważnym jest staranny dobór bojowców. Gdyby na miejscu „Saszy” był Dulebow, albo Leontjewa, rzecz prosta, że Murawjew byłby zabity.

Petersburska bojówka w owym czasie przedstawiała się mniej więcej jak następuje: kierował nią Szwajcar, dynamit przechowywała Leontjewa, Podwicki i Dulebow byli dorożkarzami, Trofimow — posłańcem, „Sasza Białostocki” — papierosiarzem, zaś Basow, który właśnie przyjechał z zagranicy i Markow nie mieli jeszcze przydziału. Nie mieli go również dwaj nowicjusze, Szylerow i Barakow.

11-go stycznia w Siestrorecku był wypadkowo aresztowany pod nazwiskiem Zacharenko Markow. Znalaziono przy nim list, z którego widać było bez wszelkiej wątpliwości, że jest członkiem bojówki. Basow, który z polecenia Szwajcara przyjechał do Siestrorecka do Markowa, był aresztowany pod nazwiskiem Dornidontowa. Szwajcar strasznie się przejął obydwoma aresztami, ale był to człowiek zawzięty, który zamknął się tylko w sobie i tem intensywniej pracował.

Wtedy też mi zakomunikował Szwajcar, że jeździł do Kijowa do Boryszańskiego, że bojówka już przystąpiła do roboty.

Przekonawszy się, że mój pobyt w Petersburgu nie zda się na nic, 15-go stycznia wróciłem z Rutenbergiem do Moskwy, a za nami pojechała Iwanowska. Rutenberg, który dotychczas był tylko sympatykiem, obecnie zgłosił swój akces do partji, otrzymał od nas hasła i odezwy partyjne oraz partyjne adresy zagraniczne i wyjechał z Rosji. Opowiedziałem Iwanowskiej o tem, jak stoją sprawy w Moskwie i prosiłem o wskazanie mi kogoś dobrze postawionego w sferach towarzyskich ktoby zechciał donosić nam o zamiarach wielkiego księcia.

Iwanowska wskazała mi na księcia N. N. Poradziła mi zajść do pisarza Leonida Andrejewa, który dobrze znał osobiście księcia N. N. i mógł nas zapoznać, udałem się do Andrejewa. Iwanowska nie zdążyła go urzędzić, to też wydawał się bardzo zaskoczony. Byłem zmuszony podać mu swoje istotne nazwisko i dopiero wówczas zgodził się zaznajomić mnie z N. N. Mieśliśmy się z nim spotkać w restauracji „Ermitage“, poznał zaś mnie N. N. z umówionego znaku: na stoliku przede mną leżał numer „Nowego Wremieni“ i wiązanka kwiatów.

Książę N. N. był wypielegnowany, wielki, różowy jak krew z mlekiem magnat ro-

syjski. Zajmował w Moskwie tego rodzaju stanowisko, które mu pozwalało wiedzieć o każdym kroku wielkiego księcia. W późniejszych latach stał się wybitnym członkiem partji kadetów. Kiedy wchodził do restauracji, poznałem z jego trwożliwego oglądania się, że obawia się, czy nie jesteśmy śledzeni. To już nie wrożyło nic dobrego, ale bądź co bądź, nawiązałem z nim rozmowę. Powiedziałem mu, że wiele słyszałem o jego sympatjach dla ruchu rewolucyjnego i zapytałem czy tak jest istotnie?

— Tak jest — odpowiedział, — ale czy pan myśli, że tu jest bezpiecznie?

Mówił ze wzburzeniem, że w „Ermitage'u“ wiele osób go zna, że sprawy konspiracyjne należy załatwiać i że prosi, abym go odwiedził w jego mieszkaniu.

Chciałem zauważyć, że wybiera najmniej konspiracyjny sposób spotkania, ale dałem spokój i zgodziłem się na jego propozycje.

W mieszkaniu księcia powtórzyło się kropka w kropkę to samo, co w „Ermitage'u“. Najwidoczniej, bał się panicznie stosunków ze mną i o jedno Boga prosił — abym się wyniósł jak najprędzej. Jednakże z wielką gotowością ofiarował się dostarczać potrzebnych informacji. Stwierdzał,

że otrzymywać je będzie bez trudności, że zabójstwo wielkiego księcia jest aktem politycznym wielkiego znaczenia, że on całą duszą jest z nami i że w najbliższej przyszłości dostarczy dokładnych i pierwszorzędnych informacji. Niebardzo tam wierzyłem w to wszystko, ale nie przypuszczałem nigdy, że obiecując tak wiele, nie zrobi absolutnie nic.

Zawód, jaki mnie ze strony księcia N. N. spotkał, upewnił mnie raz jeszcze, że w sprawach terrorystycznych nie można liczyć nawet na bardzo, zdawałoby się pewnych ludzi, jeśli nie są to członkowie organizacji. Upewniłem się, że powinniśmy polegać na własnych siłach, następne moje doświadczenie tylko potwierdziło tę tezę.

Zbliżał się koniec stycznia. Do Moskwy przyjechał Tiutczew. Opowiedział mi, że obstawienie Trepowa idzie tępo, ale że doskonale obstawił przejazdy wielkiego księcia Włodzimierza. Z tego powodu Szwajcer chciał dać za wygraną w sprawie zamachu na Trepowa, a postarać się zabić wielkiego księcia, który był jednym z winowajców „krwawej niedzieli”.

„CZYŻ MOŻNA ZABIJAĆ KOBIETĘ I DZIECI?”

W Moskwie wszystko szło po dawne-

mu. Kalajew, Mojsiejenko i Kulikowski stróżowali w Kremlu, po dawnemu Dora Brylantówna oczekiwała, kiedy od niej zażądają dynamitu. Płynęły dni za dniami, prowizorium przeciągało się w nieskończoność i nasz system nerwowy napięty był coraz bardziej.

A jednak jeśli przygotowywanie zamachu na Plehwego skonsolidowało bojówkę, przepełniło ją tym duchem, który następnie Sazonow określał jako ducha braterstwa i rycerskości, to praca nasza w Moskwie bardziej jeszcze umacniała te więzy. Gotów jestem przypisać skuteczny wynik naszej roboty temu właśnie bliskiemu współzyciu bojowców.

Mojsiejenko podobny był nieco do Szwajcera. Był tak samo milczący i pełen zimnej krwi. Na ludziach, mniej go znających, sprawiał wrażenie ponurego. Ale pod tym ponurym wyglądem biło gorące serce i płonęła wielka wiara. Mojsiejenko nie wierzył w robotę pokojową, w zjazdy, konferencje, uchwały. Wierzył tylko w terror.

Kalajew w Moskwie był taki sam, jak uprzednio w Petersburgu. Ale czuł już zbliżającą się śmierć i to przecucie odbijało się w jego ciągłym stanie podniecenia ideowego. Nigdy dawniej, tak jak w owe czasy, nie wykazywał równie gorącej

miłości dla organizacji bojowej, równie wielkiego przywiązana do haseł ideowych, w które uwierzył.

Ostatni raz widziałem się z nim jako z dorożkarzem w końcu stycznia, kiedy termin zamachu był już zdecydowany. Siedzieliśmy z nim w brudnej traktjerni na przedmieściu. Wychudł, zapuścił wielką brodę, jego świetliste oczy zapadły i gorzały jeszcze silniejszym, niż zwykle blaskiem. Nosił niebieską „poddiewkę” obyczajem dorożkarzy i szyję miał okręconą czerwonym szalikiem. Mówił:

— Zmęczony jestem... zmęczony nerwowo. Wiesz — myślę — dłużej tak nie potrafię... Ale jakie szczęście, jeśli zwyciężymy. Jeżeli Włodzimierz będzie zabity w Moskwie — Siergieja... Czekam tego dnia... Pomyśl: piętnastego czerwca, dziewiątego stycznia, potem dwa zamachy z rzędu. To już jest rewolucja. Żałuję, że nie zobaczę, jak się rozwinie...

— Mojsiejenko szczęśliwy — kontynuował po chwili — może pracować spokojnie. A ja nie mogę. Będę tylko wówczas spokojny, kiedy Sergjusz będzie zabity. Gdyby z nami był Jerzy... Jak myślisz, czy Jerzy się dowie, czy dowie się Gerszuni? Czy dowiedzą się o tem więźniowie w Szlisselburgu? Ty wiesz, dla

mnie niema przeszłości — wszystko dla mnie jest terażniejszością, czyż Aleksy i Jerzy nie żyją razem z nami? Ależ tak. Czyż ich nie czujesz dookoła siebie?... A jeśli się nie uda?... Wtedy — wiesz co?... wtedy — po japońsku...

— Jakto po japońsku?

— Japończycy się nie poddawali...

— ?

— Robili sobie harakiri.

Taki był oto Kalajew przed zabiciem wielkiego księcia Siergieja.

W końcu stycznia zaczęliśmy bezpośrednio przygotowywać ostatnie pociągnięcia. Kalajew sprzedał sanki i swoją chabętę i wyjechał do Charkowa, ażeby ukryć ślady swego dorożkarskiego żywota i zaopatrzyć się w inny fach.

Wahaliśmy się teraz na jaki dzień wyznaczyć zamach. Wertując gazety, przeczytałem, że drugiego lutego ma się odbyć w Wielkim Teatrze przedstawienie na rzecz Czerwonego Krzyża, który był pod patronatem żony wielkiego księcia Siergieja. Wielki książę koniecznie musiał być na przedstawieniu. Wyznaczyliśmy już zamach na ten dzień. Dora Brylantówna przemieszkiwała wówczas w Dorpacie i tam strzegła swego dynamitu. Pojechałem do

niej i na luty miałem całą organizację na miejscu w Moskwie.

Brylantówna zatrzymała się w hotelu „Bazar Słowiański” na ulicy Nikolskiej. Tam to drugiego lutego, spreparowała dwie bomby: jedną dla Kalajewa, a drugą dla Kulikowskiego. Nie wiedzieliśmy tylko o której godzinie wielki książę pojedzie do teatru. Postanowiliśmy więc oczekiwać go od samego początku przedstawienia to znaczy od ósmej godziny. O godzinie siódmej przyszedłem do „Słowiańskiego Bazaru” i w bramie jego spotkałem Brylantównę, niosącą bomby, zawinięte w pledzie. Skręciliśmy wraz z nią w najbliższą cichą uliczkę, rozwinęliśmy pled i przełożyli bomby do mojej teczki. O parę kwartałów dalej oczekiwał nas Mojsiejenko. Siadłem w jego dorożkę i na Ilince spotkaliśmy Kalajewa. Wręczyłem mu bombę i pojechałem do Kulikowskiego, który oczekiwał na Barbarce. O siódmej i pół obydwie bomby były wydane i zamachowcy stanęli na stanowiskach. Zajęli oni obydwie marszrutę, jakimi wielki książę mógł podążać. Obydwaj oni byli przebrani za chłopów i dzwigali bomby w kolorowych perkalowych chusteczkach. Brylantówna wróciła do hotelu. Wrazie niepowodzenia naznaczyłem jej miejsce spotkania na godzinę dwunastą dla

odebrania z powrotem bomb. Mojsiejenko powrócił ze swoją dryndą do zajazdu. Ja zaś siadłem w Parku Aleksandrowskim i obserwowałem rozwój wypadków.

Był wielki mróz i śnieżna zadymka. Kalajew stał w cieniu portyku ratuszowego, na placu pustym i ciemnym. Zaraz po ósmej od strony bramy Mikołajewskiej zamajaczyła sylwetka karety wielkiego księcia. Kalajew poznał ją natychmiast po oślepiających światłach acetylenowych. Kareta skręciła na Plac Woskresieński i Kalajewowi wydało się, że w ciemności poznał stangreta Rudinkina, który zwykł był wozić wielkiego księcia. Wtedy, nie wahaając się ani przez chwilę, Kalajew rzucił się na przelaj. Podniósł już rękę, ażeby rzucić bombę. Ale, oprócz wielkiego księcia Siergieja, nagle ujrzał jeszcze wielką księżnę Elżbietę oraz dzieci wielkiego księcia — Marję i Dymitra. Opuścił rękę i odszedł. Kareta zatrzymała się przed wielkim teatrem.

Kalajew przyszedł do mnie do parku. Podeszedszy, powiedział:

— Myślę, że słusznie postąpiłem: czyż można zabijać dzieci?

Nie mógł nic więcej mówić ze wzruszenia. Rozumiał doskonale, jak wiele na własną odpowiedzialność zdecydował się

zaryzykować: zmarnował okoliczność wyjątkową. Ale powiedziałem mu, że nie tylko go nie potępiam, ale szanuję i podzielim jego skrupuły. Wtedy Kalajew poprosił, abyśmy zdecydowali jako organizacja bojowa: czy można zabić wielkiego księcia wraz z rodziną. Jeśli wypowiemy się pozytywnie, to on dokona zamachu przy powrocie z teatru rodziny wielkoksiążęcej.

W czasie tej rozmowy przyłączył się do nas Kulikowski. Widział on ze swego posterunku, jak karetą wielkiego księcia skierowała się na Kalajewa ale nie posłyszał wybuchu. Przypuszczał więc, że zamach się nie udał i że Kalajew został areztowany.

Wyraziłem przypuszczenie, że może wielki książę nie znajdował się w karecie i że może Kalajew wziął karetę wielkiej księżnej za karetę jej męża. Zdecydowaliśmy się sprawdzić to. Kalajew miał pójść wobec tego tam, gdzie zatrzymują się karety i zorientować się, która z karet stoi i czy nie stoją obydwie. Ja zaś miałem przekonać się w teatrze, czy znajduje się w nim wielki książę.

Podszedłem do kasy. Bilety były już wyrzedane. Rzuciłem się ku mnie przekupnie. Skombinowałem, że w teatrze przepełnionym mogę łatwo nie spostrzec wiel-

kiego księcia. Wobec tego, nie kupując biletu zapytałem przekupnia:

— Czy wielka księżna jest w teatrze?

— Tak jest. Już jest z kwadransik, jak raczyła przybyć.

— A wielki książę?

— Raczył przyjechać razem z Jej Wysokością.

Na ulicy oczekiwali na mnie Kalajew i Kulikowski. Kalajew zlustrował powozy. Karetą była tylko jedna i to właśnie należąca do wielkiego księcia. A więc był on w teatrze wraz z rodziną.

Postanowiliśmy jednak oczekiwać końca przedstawienia. Mieliśmy nadzieję, że może wielkiej księżnie przysła jej karetę, a wielki książę sam odjedzie.

Ważaliśmy się więc we trójkę ulicami Moskwy i znaleźliśmy się aż nad brzegiem rzeki. Kalajew siedł obok mnie ze zwieszoną głową, niosąc swoją bombę. Kulikowski kroczył za nami. Nagle kroki jego zacichły. Obejrzałem się. Stał, oparty o granitową balustradę. Miało się wrażenie, że upadnie. Podeszłem ku niemu. Ujrawszy mnie, powiedział:

— Weźcie bombę, bo wypuszczę ją z rąk.

Odebrałem mu bombę. Stał tak jeszcze

długo bez ruchu. Widać było, że brak mu zupełnie sił.

Kiedy zbliżył się koniec przedstawienia, Kalajew, z bombą w ręku, stanął przed teatrem. Cała rodzina wielkoksiażęca siadła do karety. Kalajew wobec tego powrócił do mnie i zwrócił bombę. O godzinie dwunastej oddałem obie bomby Brylantównie. Zaaprobowała nasze postępowanie.

„JA SAM GO ZABIJĘ...!”

Kalajew i Kulikowski nie mieli paszportów. Obaj oni zostawili swoje paszporty w rzeczach na dworcu. Kwity na rzeczy były w mojem posiadaniu. Ale nie było pogo wracać po paszporty, bo za późno już było na wyjazd z Moskwy. Wpadało spędzić noc na ulicy. Ja byłem ucharakteryzowany na wielkiego pana, cudzoziemca, Anglika, a oni na chłopów. Obydwaj tak przemarli i zmęczeni się, że się, zwłaszcza Kulikowski, śniali. Zdecydowałem się więc, bez względu na ekscentryczność ich ubiorów, zająć wraz z nimi do jakiejś restauracji, wszystkie bowiem traktjernie były już zamknięte.

Przybyliśmy do restauracji „Róża Alpejska”, ale portjer nie chciał nas wpuścić. Wtedy wezwałem maitre - d'hotele'a i

po długich pertraktacjach otrzymaliśmy pozwolenie roztasowania się w jakiejś dalszej salce. Było w niej ciepło i cicho.

Koło czwartej nad ranem, kiedy zamknięto „Alpejską Różę”, pożegnałem się z nimi. Było zdecydowane, że dokonamy zamachu w tymże samym tygodniu. Drugiego lutego była środa. Mojsiejenko, obserwując wielkiego księcia, dowodził, że w poniedziałek ostatnim razem był wielki książę w swoim biurze. Znając przyzwyczajenia wielkiego księcia doszliśmy do przekonania, że trzeciego, czwartego, lub piątego lutego musi on absolutnie pojechać do domu generał - gubernatora na Twerskim placu. Ale trzeciego lutego nie chcieliśmy ryzykować; było to nazajutrz po owej nieprzespanej nocy, Kulikowski i Kalajew musieli ją spędzić na mrozie do rana, byli zupełnie wyczerpani i nie można było na nich polegać. Zamach więc należało odłożyć na czwarty lutego. Z rana trzeciego lutego Kalajew i Kulikowski mieli wyjechać z Moskwy i powrócić nazajutrz. Miejsce spotkania i wręczenia bomb umówione było góry.

Brylantówna wyjęła z bomb zapalniki. Należało je teraz ponownie wstawić. Czwartego lutego, piątek, o pierwszej godzinie, przyszedłem do „Słowiańskiego Ba-

zaru", gdzie mi ona wręczyła, tak jak i u-
przednio, bomby, zawinięte w pled.

Zaledwie wsiadłem do sanek Mojsie-
jenki, kiedy ten odwrócił się i spytał:

— Czyście widzieli Kalajewa?

— Tak.

— No i cóż?

— A co? Nic.

— A ja widziałem Kulikowskiego.

— No i co?

— Kiepsko.

I opowiedział mi, że Kulikowski, przy-
jechawszy rankiem do Moskwy, zobaczył
się z Mojsiejenką i zakomunikował mu, że
nie może wziąć udziału w zamachu. Stwier-
dził mianowicie, że przeceniał swe siły i że
widzi obecnie, po doświadczeniach z nocy
drugiego lutego, że nie jest w stanie pra-
cować w terrorze.

Zrozumiałem trudność położenia. Na-
leżało się decydować: albo zastąpić Kuli-
kowskiego przeze mnie lub przez Mojsie-
jenkę, albo też decydować się na zamach
z Kalajewem jako jedynym miotaczem.

Mojsiejenko był dorożkarzem. Zaare-
sztowanie jego pouczyłoby policję o naszych
metodach przygotowywania zamachu. Ja
zaś miałem paszport angielski. Zaarešto-
nie mnie naraziłoby owego sympatyka an-
gielskiego, inżyniera, który partji udzielił

paszportu. A więc nie mogliśmy tak odra-
zu przystąpić do udziału w zamachu, który
należałoby odłożyć do czasu pozbycia się
przez Mojsiejenkę konia i sanek lub zaopa-
trzenia się przeze mnie w inny paszport.
A więc Brylantówna miałaby raz jeszcze
wyjąć zapalniki z bomb, a następnie kiedyś
znowu je wstawiać. Pamiętając śmierć Po-
kotiłowa, obawiałem się tego ciągłego ła-
dowania i rozładowywania bomb.

Z drugiej strony, zamach z jednym mio-
taczem, Kalajewem, wydawał mi się ryzy-
kowny. Marszruta wielkiego księcia była
dokładnie znana: szła zawsze przez bramy
Nikolską i Iwerską wzdłuż ulicy Twerskiej.
Ale obawiałem się, że jedna bomba, może
chybić, lub zranić tylko wielkiego księcia
i wtedy zamach należałoby uznać za nie-
udany.

Decyzję należało powziąć w tejże chwi-
li, w sankach, bo Kalajew już oczekiwał.
Kulikowski istotnie się nie zjawił. Wie-
czorem tegoż dnia wyjechał, a po kilku mie-
siącach go aresztowano w Moskwie. Uciekł
z cyrkułu, szukano go po całej Rosji, aż
wreszcie zjawił się sam do „gradonaczalni-
ka“ Moskwy, hrabiego Szuwałowa i zastrze-
lił go. Za to morderstwo został skazany na
karę śmierci, którą potem zamieniono mu
na bezterminowe ciężkie roboty.

Podjeżdżając do miejsca, w którym oczekiwał Kalajew, byłem już zdecydowany odłożyć ponowny zamach, co też zakomunikowałem Kalajewowi, skoro tylko usiadł obok mnie w sankach. Kalajew się wzburzył:

— W żaden sposób nie można odkładać... nie można Dory raz jeszcze narażać na niebezpieczeństwo... Zrobię wszystko sam.

Perswadowałem mu, że jednego bombiarza jest za mało, że może się nie udać, że może nastąpić przypadkowy wybuch, nie spodziewane przyaresztowanie i t. d., ale nie chciał mnie nawet słuchać.

— Mówisz, że za mało jest, jeśli jeden tylko bombiarz? A przedwczoraj czyż nas było dwóch? Ja przecież stałem gdzie indziej, a Kulikowski gdzie indziej. Gdzież więc rezerwa?... Czemuż więc nie można dzisiaj?

Odpowiedziałem, że posiadany dynamit starcza tylko na dwie bomby, że drugiego lutego musieliśmy z konieczności rozstać bombiarzy w dwóch miejscach, bo nie znaleźliśmy marszruty wielkiego księcia, że jednak dzienną marszrutę jego dokładnie znamy, nie powinniśmy więc sobie pozwolić na najmniejsze ryzyko, a przeczekaw-

szy kilka dni, dokonać zamachu z dwoma bombiarzami.

Kalajew mi odpowiedział:

— Czyż ty nie wierzysz? Powiadam ci, że dam sobie radę.

Znałem Kalajewa. Wiedziałem, że można polegać na jego słowie. Pewny byłem, że nie rzuci bomby inaczej, jak tylko dobiegłszy do samej karety; pewny byłem, że zachowa całą zimną krew. Ale obawiałem się jakiego niefortunnego wypadku. Więc perswadowałem dalej:

— Słuchaj, przecież musisz przyznać, że dwóch, to zawsze pewniej, niż jeden... wyobraź sobie, że ci się nie uda. Co wtedy?

Kalajew odpowiedział:

— Nie może mi się nie udać.

Jego pewność siebie zwyciężyła mnie.

— Jeśli wielki książe będzie przejeżdżał, to zabiję — ciągnął swoje — możesz być zupełnie pewny.

W tejże samej chwili obrócił się z koła Mojsiejenko.

— Decydujcie się prędzej. Czas.

Wtedyśmy wysiedli z sanek i poszliśmy razem wzdłuż Ilinki do Czerwonego Placu. W baszcie kremlowskiej zegar wydzwonił drugą. Kalajew się zatrzymał.

— Żegnaj.

— Żegnaj.

Pocałował mnie i poszedł ku bramie Nikolskiej. Przeszedłem przez basztę Spaską do Kremla i zatrzymałem się pod pomnikiem Aleksandra II. Widziałem stąd pałac wielkiego księcia. Czekala przed nim karetka. Poznałem stangreta Rudinkina. Zyskałem pewność, że wielki książę pojedzie.

Teraz przez Nikolską bramę podążyłem na ulicę Twerską. Miałem wyznaczone spotkanie z Dorą Brylantówną w cukierni na ulicy Kuźniecki Most. Spieszyłem się, aby zdążyć powrócić na Kreml jeszcze przed wybuchem bomby. Kiedym szedł już na ulicę Kuźniecki Most, posłyszałem odległą przygłuszoną detonację, tak jakby ktoś w ciasnej uliczce puknął z rewolweru. Ani mi do głowy nie przyszło, żeby to miał być huk bomby.

W cukierni spotkałem Dorę. Wyszliśmy z nią na ulicę Twerską i skierowaliśmy się do Kremla. Nagle spostrzegliśmy człowieka, który pędził bez czapki i darł się.

— Wielkiego księcia zabiło, oderwało mu głowę.

W kierunku Kremla biegły tłumy. Nie sposób było przecisnąć się przez masy ludzi. Zatrzymaliśmy się bezradni. Nagle usłyszałem głos:

— Tu jest dorożka, wielmożny panie. Obejrzałem się. Mojsiejenko, błady,

proponował nam zająć sanki. Zaczęliśmy odjeżdżać od Kremla. Mojsiejenko spytał.

— Słyszeliście?

— Nie.

— Stałem na swoim zwykłym miejscu i posłyszałem wybuch: Wielki książę zabity.

W tejże chwili Dora pochyliła się ku mnie i zaszcuchała. Naprawdę starała się opanować. Całe jej ciało trzęsło się w konwulsyjnym łkaniu. Starałem się ją uspokoić bezskutecznie. To ją tylko podniecało jeszcze bardziej:

— To myśmy go zabili... To ja go zabiłam... Ja...

— Kogo? — zapytałem, myśląc, że mówi o Kalajewie.

— Wielkiego księcia.

JAK SIĘ ODBYŁ ZAMACH?

Kalajew, pożegnawszy się ze mną, skierował się, jak to było w planie, ku obrazowi Twerskiej Matki Boskiej. Dawniej już zauważył, że na rogu w ramce za szkłem jest umieszczony patriotyczny obrazek. W jego szkłe, jak w lustrze, odbijała się droga od bramy Nikolskiej. W ten sposób, stojąc plecami w stronę Kremla i przygła-

dając się obrazkowi, można było zaobserwować zbliżanie się karety.

„Wbrew moim oczekiwaniom, — pisze on w jednym ze swych listów z więzienia, — pozostałem czwartego lutego przy życiu. Rzuciłem z odległości nie większej, niż cztery kroki, byłem porwany przez pęd powietrza i widziałem, jak się rozpadała kareta. Kiedy dym się rozrzedził, okazało się, że leżą przy mnie szczątki tylnych kół. Pamiętam, jak mi w twarz buchnął dym i drzazgi i jak mi zmiotło ze łba czapkę. Nie upadłem, tylko odwróciłem twarz. W następnej chwili ujrzałem o pięć kroków od siebie strzępy ubrania wielkiego księcia i obnażone ciało... O jakie dziesięć kroków za kareta leżała moja czapka; podszedłem po nią i włożyłem na głowę. Teraz spojrzałem po sobie. Cała moja „poddiowka“ była naszpikowana drzazgami, cała spalona i porwana na strzępy. Z twarzy obficie płynęła krew i zrozumiałem, że niema dla mnie ucieczki, chociaż minęło kilka długich chwil, w czasie których nie było niko go naokoło. Poszedłem zwolna... W tejże chwili usłyszałem za sobą... „trzymać go, trzymać!“ — mało mnie nie roztratowały szpiclowskie sanki i wiele dłoni opadło na mnie. Nie stawiałem sprzeciwu. Dokoła mnie krzatali się rewirowy, stójkowy i ja-

kiś szpicel... „Spójrzcie, czy niema rewolweru, ach, Bogu dzięki, ocalałem, przecież byliśmy tuż obok“, wyjąkał, drżąc cały, szpicel. Żał mi się zrobiło, że nie mogę wsadzić kulki w łeb tej tchórzliwej kreaturze. — „Czego mnie trzymacie, nie ucieknę, swoje już zrobiłem“, powiedziałem (mówiąc to, rozumiałem, że jestem ogłuszony i nawpółprzytomny). „Sprowadźcie dorożkarza“. Powieziono mnie na dorożce przed Kreml i po drodze krzychałem: „Precz z przeklętym carem, niech żyje wolność, precz z przeklętym rządem, niech żyje partja socjalistów - rewolucjonistów!“ Przywieziono mnie do cyrkułu. Wszedłem pewnym krokiem. Wstręt było patrzeć na tych podłych tchórzy. To też byłem bezczelny, kpiłem z nich sobie. Przetransportowano mnie do aresztu. Zasnąłem snem kamiennym“....

Zdarzeniu czwartego lutego poświęcono obszerny artykuł w numerze sześćdziesiątym „Rosji Rewolucyjnej“. Przebieg jego, w opowiadaniu świadka naocznego, przedstawiał się w sposób następujący:

„Wybuch bomby nastąpił około godziny drugiej minut czterdzieści pięć. Słychać go było w całej Moskwie. W gmachu sądu, przed którym rzucono bombę zaszedł popłoch. Po salach sądowych odbywały

się właśnie sesje a w kancelariach wrzała praca. Wielu myślało, że jest to trzęsienie ziemi, inni zaś byli pewni, że wali się stary gmach sądu. Wszystkie okna wyleciały, sędziowie, biuraliści pospadali z krzesel. Kiedy po upływie jakich dziesięciu minut uświadomiono sobie, co się stało, wielu naraz rzuciło się na miejsce wybuchu. Leżała tam masa bezkształtna, składająca się z drobnych części karety, strzępów odzieży i ciała. Głowy nie było; w krwawej miazdze można było tylko rozróżnić jedną rękę i część nogi. W tejże chwili przybiegła wielka księżna w płaszczu ale bez kapelusza i rzuciła się ku szczątkom. Cisnący się zewsząd gapie nie zdjęli czapek. Wielka księżna to zauważyła. Rzuciła się od jednego do drugiego, wołając: „Jak wam tu nie wstyd stać, na co tu macie patrzeć, odejdźcie stąd”. Lokaj zwrócił się do publiczności z prośbą o zdjęcie czapek, ale wszystko to nic nie pomogło, tłum ani się nie rozchodził, ani nie zdjął czapek. Policja tymczasem w ciągu jakiej pół godziny, nie ingerowała, stracono się zupełnie. Wice - prokurator to pojawiał się to znikał, sam nie wiedząc, co ma robić. Dopiero wiele później przemaszerował oddział wojska i rozstawiono kordony”.

Oficjalny komunikat brzmi tak:
„Czwartego lutego 1905 roku w Moskwie, w czasie, kiedy wielki książę Sergiusz Aleksandrowicz podążał kareta z Nikolskiego dworca na plac Twerski, na placu Senackim, o sześćdziesiąt pięć kroków od bramy Nikolskiej, niewiadomy zloczyńca rzucił bombę w kareta Jego Wysokości. Wielki książę został zabity na miejscu, a stangret odniósł liczne i ciężkie obrażenia. Ciało wielkiego księcia zostało zdeformowane, przyczem głowa, szyja, górna część piersi, wraz z lewą łopatką i ręką, były oderwane i zupełnie zniszczone, lewa noga przełamana, biodro rozgruchotane, przyczem od kolana noga urwana. Pudło karety zostało rozbite na drobne kawałeczki i w domach naokoło powylatywały szyby”.

Z cyrkułu przetransportowano Kalajewa do więzienia na Butyrkach.

W kilka dni potem odwiedziła go żona zabitego przezeń Sergjusza Aleksandrowicza, wielka księżna Elżbieta Teodorówna.

„Patrzyliśmy na siebie, — pisał o tem widzeniu Kalajew, — z jakimś uczuciem mistycznym, jak dwoje skazańców, którym darowane zostało życie. Mnie — wypadkowo, jej zaś — z woli organizacji, z mojej woli, bo i organizacja i ja celowo

staraliśmy się uniknąć zbytniego rozlewu krwi.

„I, patrząc na wielką księżnę, nie mogłem nie odczytać na jej twarzy wdzięczności jeśli nie dla mnie, to w każdym razie dla losu, który zachował jej życie.

— Proszę, niech pan weźmie ode mnie na pamiątkę obrazek. Będę się modlić za pana.

„Wziąłem ten obrazek.

— „Moje sumienie jest czyste, — powiedziałem, — mnie jest bardzo ciężko, że sprawiłem pani ból, ale działałem z rozmysłem i gdybym miał tysiąc żyć, tysiąc żyć, nietylko to jedno, oddałbym ponownie za sprawę.

„Wielka księżna powstała, gotując się do wyjścia. Powstałem wraz z nią“.

SĄD NAD KALAJEWEM.

Sąd nad Kalajewem odbył się 5 kwietnia 1905 r. Bronili go adwokaci Żdanow i Mandelstam. Żdanow znał dobrze osobieście Kalajewa z czasów zesłania w Wołogdzie; wygłosił mowę, która obiegała całą Rosję.

Ale najciekawszem było przemówienie samego Kalajewa.

„Przedewszystkiem zastrzeżenie for-

malne: nie jestem podsądnym — jestem waszym jeńcem. Ja i wy — to dwie strony wojujące. Wy — jesteście przedstawicielami carskiego rządu i gwałtu. Ja — jestem jednym z mścicieli ludu, jestem socjalista, jestem rewolucjonista. Rozdziela ją nas sterty trupów, setki tysięcy złamanych egzystencyj ludzkich i ocean krwi i łez, który zalewa kraj beźmiarem teroru i oburzenia. Wypowiedzieliście ludowi wojnę — przyjęliśmy wyzwanie. Wziąwszy mnie do niewoli, możecie poddać życie moje torturze powolnego zaniku, albo możecie je odrazu zniszczyć, ale pomimo to nie waszem prawem jest sądzić moją wewnętrzną istotę. Pomimo wszelkich starań z waszej strony niemasz usprawiedliwienia dla was, jak dla mnie niema rządu. Żadnego punktu styczności niema między mną i wami, jak niema żadnego punktu styczności między ludem i caratem. Niech nas nie sądzi żandarmska podłość, mundur senatorski, serca niewolnicze sędziów przysięgłych. Sumienie ludu, wolne ludu sumienie niech nas sądzi. Niech rozsądzi nas wielka męczennica historii — Rosja ludowa.

„Zabiłem wielkiego księcia, członka domu panującego; niechże mnie sądzi sąd rodzinny dynastów jako swego wroga. Ale

gdzież ów Piłat, który, nie zmywszy jeszcze krwi przelanej na ulicach z rąk swoich, posłał was tutaj wznosić szubienicę? A może sami wy, w poczuciu swych pełnomocnictw, chroniąc jego tchórzliwe sumienie, zdecydowaliście rozstrzygać na jego korzyść i sądzić mnie w imię obłudnego i stronniczego kodeksu? Dowiedzcie się więc, że nie uznaję ani was, ani praw waszych.

Ale gdzież sumienie wasze? Gdzie się kończy wasza pańszczyźniana powinność, a gdzie zaczyna działać wasza wolna i nieprzymuszona wola? Przecież wy nie tylko sądzicie mnie, wy oceniacie wartość wewnętrzną mojego czynu. Mój postępek z 4 lutego nie jest przez was nazywany, po prostu zabójstwem, wy go nazywacie zbrodnią, przestępstwem. Macie tę czelność, aby nie tylko skazywać, ale i potępiać. Któż to wam dał tego rodzaju prawo? Wy, zdaje się, jesteście zupełnie przekonani, że istnieją dwie moralności: jedna dla zwykłych śmiertelników, która powiada: „nie zabijaj”, „nie kradnij”, druga zaś dla rządów.

„Spójrzcie dokoła: wszędzie krew i jełki. Wojna zewnętrzna i wojna domowa. Tu i tam zetknęły się dwa światy, między którymi nie masz kompromisu, nie masz po-

koju: tryskające źródło życia i marazm, cywilizacja i barbarzyństwo, przemoc i wolność, samodzielnizacja i lud.

„To jest sąd historii. To jest — koniec caratu. Rewolucjonista nie potrzebuje już być marzycielem, który ściąga w marzeniach gwiazdy z nieba; widzi on życie, które się pełni i rzuca wam w twarz straszliwe: ja was sądzę!

...” Wielki książę był jednym z czołowych numerów kliki, rządzącej Rosją. Klika ta marzy o powrocie czasów Aleksandra III, dla którego żywi kult. Wielki książę miał wpływy na rządy Mikołaja II od samego ich początku. Krwawa katastrofa koronacyjna na polach Chodynki jego jest dziełem. Prowadzący wówczas śledztwo hr. Palen orzekł, że niedopuszczalną jest rzeczą wyznaczać odpowiedzialne funkcje nieodpowiedzialnym ludziom. I oto organizacja bojowa nieodpowiedzialnego wobec kodeksu człowieka domu panującego zrobiła odpowiedzialnym wobec ludu.

„Rzecz prosta, że, nim zasłużył sobie na wyrok partyjny, musiał wielki książę popełnić wobec ludu wielką ilość przestępstw. Działalność jego była trojaka. Jako generał - gubernator moskiewski, zostawił po sobie pamięć, wobec której bledną nawet wspomnienia o osławionym Za-

krewnym. Absolutne lekceważenie norm prawnych, zupełne poczucie bezkarności, sprawiły, że Moskwa stała się jakimś średniowiecznym księstwem udzielnym. Tępienie wszelkich poczynań kulturalnych, rozwiązywanie towarzystw oświatowych, deprawowanie mas robotniczych — oto listki z wawrzynów tego małego samodzielnicy Moskwy. Po drugie — był on liderem reakcji rosyjskiej, pewną opoką, za którą bezpiecznie ukrywał się każdy zbrodniarz czarnosecinny. Wszak to do W. Księcia zajeżdżał na narady Plehwe przedtem, nim rozpoczął krwawą krucjatę wypraw karnych przeciw chłopom gub. Połtawskiej i Charkowskiej. Jego to przyjacielem był Sipiagin, jego kreaturami Bogolepów, a następnie Zwieriew. On udaremniał reformy Światopełk - Mirskiego, on na miejsce tego liberalniejszego ministra wprowadził oprawców Bułygina i Trepowa. Po trzecie wreszcie — ów wujek carski miał wpływ silny i zgubny na panującą siostrzeńca“.

Kalajew zakończył swe przemówienie temi słowy:

„Mój zamiar uwieńczyło powodzenie. Takież powodzenie uwieńczy działalność partji. Widzę już przyszłość promienistą i wierzę w nią całą siłą swojej duszy.

„Cieszę się, że umrę w imię tej przyszłości, cieszę się i szczyję tem, że wypełniłem swój obowiązek do końca“.

O godzinie trzeciej sędziowie wrócili z narady. Ich werdykt opiewał karę śmierci.

„Mam nadzieję“ — przemówił do sędziów Kalajew, wysłuchawszy wyroku, — „że zdecydujecie się wykonać wyrok publicznie, tak, jak publicznie ja popełniłem swój czyn. Uczcie się patrzeć oko w oko rewolucji, która nadchodzi“.

ŚMIERĆ KALAJEWA.

Wyrok zapadł 5 kwietnia. Procedura apelacji, do której uciekli się obrońcy, zajęła jeszcze miesiąc czasu.

W poniedziałek 9 maja Kalajew został przewieziony policyjnym stateczkiem z twierdzy Petropawłowskiej do Szlisselburga. W noc na 10 maja odwiedził go kapłan. Kalajew odparł, że jest człowiekiem wierzącym, ale nie praktykującym. Kapłan odszedł.

O godz. 2-iej w nocy, kiedy już zlečka szarżało, wyprowadzono Kalajewa na podwórzec wewnętrzny, na którym widniała ciemna sylweta szubienicy. Byli tam skupieni przedstawiciele władzy, administracja twierdzy, oddział żołnierzy i wszyscy

podoficerowie, którzy w danej chwili nie pełnili służby.

Kalajew wszedł na szafot. Był ubrany czarno, bez palta, w kapeluszu „feutre”.

Stojąc na pomoście nieruchomo, wysłuchał wyroku.

Kapłan z krzyżem zbliżył się do niego. Kalajew nie pocałował krzyża, mówiąc:

— Powiedziałem już, że sam załatwiłem rachunki z życiem i przygotowałem się na śmierć.

Miejsce kapłana zajął kat Filipnow. Zarzucił pętlę i wyrwał ławkę z pod nóg.

Ciało Kalajewa spoczęło pod murem fortecznym, pomiędzy wałem, otaczającym fortecę od strony jeziora, a królewską basztą.

KONIEC.



M7814